

DZIENNIK POLSKI
KRAKÓW, ul. Wielopole Nr 1

wydanie

Nr 99 z dn. 27-04-1974

665

Po 28 latach Teatr im. Solskiego w Tarnowie przypomniał sztukę Tadeusza Brezy i Stanisława Dygata „Zamach”. Sztukę, która tuż po wojnie, świeżo po okupacyjnych przeżyciach, mogła stanowić odtrutkę na patos i tromtadrację, z jaką wspomniano niedawne lata cierpień i polskiego bohaterstwa. Wtedy, oglądana przez świadków tamtych dni, była przyczynkiem do obrazu narodu, nie poddającego się obrzuceniu, nie poddającego się wojnowi, umiejscowionego — także humorem i zawadiactwem — walczyć z przemocą. Dziś, trafiając do widza w przeważającej części znającego tamte czasy tylko z opowiadań lub historii, wzbudza „Zamach” uczucie trochę dziwne; może nawet szczypte — zażenowania. Sztuka o posmaku sensacyjnym — jest w niej prócz zamachu i kradzieży wynalazku, i więzienie, i finansowe machlojki, i małżeński trójkąt — na tle walki w okupowanej stolicy nie pozwala nam, po latach, wczuć się w atmosferę tamtych dni, ogarnąć pełnię ich prawdy. Rzecz o charakterze raczej reportażu scenicznego niż dramatu, napisaną zręcznie, z kilku świetnymi sylwetkami — ogląda się z zainteresowaniem, ale — nie przeżywa.

Przedstawienie, wyreżyserowane przez Jerzego Golińskiego, biegnie wartko, ma doskonale przemyślane sytuacje; niestety, aktorstwo nie wspiera słabego literacko tekstu.

Krystyna Zbijewska

Nowoczesny Jedermann

Wśród kilku bohaterów najbardziej udana scenicznie wydaje się sylwetka dr Schmidta w realizacji Jerzego Smolińskiego.

*

Przed kilku dniami krakowianie mieli okazję poznać inny spektakl tarnowskiego teatru: „Czekając na Godota” Becketta, zaprezentowany na scenie Teatru Kameralnego. Doskonale to, wywołujące silne wrażenie, przedstawienie. Bo też i sama sztuka, która przed 20 przeszło laty stała się sensacją teatralną Paryża, żywa jest do dzisiaj. Może nawet więcej: zyskuje coraz silniejszą wymowę i aktualność. Straciła z pewnością ostrze jej rewolucyjność formalna — sztuka, która swymi narodzinami przekreśliła dawne konwencje teatru europejskiego, dziś nie szokuje już ani nie dziwi. Natomiast filozoficzna jej wymowa, treści, raczej się pogłębiły — wraz z pogłębianiem się w przycwilizowanym, skłóconym świecie rozterek i tragedii współczesnej ludzkości.

Sztuka o beznadziejnym czeka-

niu, sztuka o niemożności porozumienia się między ludźmi, sztuka o ludzkich zależnościach katar i ofiary przemawia zarówno swą wielką dosłownością, jak swą wielką metaforyką, pod którą każdy widz podkłada własne myśli, odczucia, doświadczenia oraz własną wiedzę o życiu i świecie. Bo dramat to o wszystkich i o każdym z nas. Współczesny Jedermann.

„Czekając na Godota” to rzecz o niczym, a zarazem rzecz o wszystkim. W bezsensownych, codziennych, niekiedy wulgarnych powiedzeniach pary głównych bohaterów, w ich „grach”, przedsięwziętych dla skrócenia czasu czekania, wreszcie w przejmujących scenach Pozza i Lucky'ego (jakby z przekory noszącego imię Szczęśliwy) — można dosłuchać się i dopatrzeć głębokich filozoficznych treści. Toteż, mimo że nie na scenie się nie dzieje, że sztuka kończy się w tym samym punkcie, co zaczyna — pod suchym ogółonym drzewem (w tarnowskiej inscenizacji o kształcie szubienicy — bez symbolicznych kil-

ku listków, które u Becketta pojawiają się w drugiej części „Czekając na Godota”; scenografia Joanny Braun) — słucha się jej z napięciem.

Zasluga to oczywiście nie tylko wybitnego autora. Zasluga w równej mierze także realizatorów. Reżyser Bogdan Hussakowski nie uczynił z przedstawienia groteski cyrkowej, nie uczynił zeń również egzystencjalistycznego kosmaru. Poszedł raczej po linii szlachetnego realizmu, nie pozbawionego jednak akcentów zarówno clownady jak aktorskiego ekshibicjonizmu. Znakomicie utrafili w ten ton dwaj główni wykonawcy: Ryszard Kotys i Jerzy Wasiuczyński. Pamiętny z Teatru Ludowego czasów dyr. Skuszan-ki Ryszard Kotys znalazł tu chyba rolę jakby stworzoną dla swych aktorskich predyspozycji. Każdy jego ruch, spojrzenie, każde słowo, swoiste akcentowanie i modulacja głosu, znamieny chód — coś w nim z chaplinowskiego bohatera „Świąteł wielkiego miasta” — mają swą wewnętrzną treść, przemawiają do odbiorcy. Diametralnie różną

postać — jakże nietatwe to w tych arcypodobnych typach włóczęgów — stworzył Jerzy Wasiuczyński. Gra raczej całą sylwetką (świetny efekt scenicznych wędrówek w jednym bucie), jest bardziej dynamiczny, bardziej zbuntowany przeciwko bezsensowi czekania. I jeszcze Lucky — Łukasza Pijewskiego. Ten młody aktor dojrzewa artystycznie z roli na rolę. W „Czekając na Godota” daje skończone studium ludzkiej nędzy i upodlenia. Świadomie przeciwstawia się aktorsko tej tragicznej trójce postaci Pozza (Zbigniew Kłopotki), władczego pana życia i śmierci — w pierwszej części spektaklu, złamanego życiem — w części drugiej. Może — także w sensie ideowego wyrazu sztuki — celowsze byłoby większe zróżnicowanie scenicznej interpretacji tej postaci, większe zbliżenie w finale Pozza do pozostałej trójki.

Dawno nie słyszałam tylu oklasków przy otwartej kurtynie, co właśnie w czasie tarnowskiego przedstawienia sztuki Becketta. Trafila ona do nas po beckettowskich „Radosnych dniach” i „Komedii”. Trafila po „Końcówce”. A trafiła na zasadzie artystycznej wizyty. Dobrze, że bodaj garstka krakowskich teatromanów miała możliwość poznać tę klasyczną już dziś pozycję teatru europejskiego. I to poznać — w ciekawej, liczącej się artystycznie inscenizacji.